

*"Duch Pański spoczywa na Mnie,
ponieważ Mnie namaścił i posłał Mnie,
abym ubogim niósł dobrą nowinę,
więźniom głosił wolność,
a niewidomym przejrzenie..."*

PRZEJRZENIE PISKŁĘCIA

"Pisklę – świeżo wykluty z jaja ptak, u większości gatunków wymagający opieki rodzicielskiej. U pewnych gatunków niezaradność piskląt przejawia się najczęściej tym, że rodzą się małe, ślepe, nie potrafią chodzić i latać, oraz są nieopierzone. Pisklęta wykluwają się z jaja rozbijając skorupę przy pomocy zęba jajowego."

Ze świadectwa Szawła

Nie zauważyłem kto pierwszy podniósł kamień. Zgodnie z Prawem rozpocząć kamienowanie mieli ci, którzy byli naoczniymi świadkami bluźnierstwa. Potem rzucać kamienie mogli wszyscy inni. Po chwili więc po kamienie śmiało sięgali kolejni mężczyźni. Za ich przykładem też chciałem postąpić naprzód i rzucić, ale powstrzymał mnie stos ubrań u mych stóp, który szybko wzrastał. Powinienem być się pospieszyć, bo stos kamieni szybko topniał, a mimo to ciągle stałem tam jak sparaliżowany.

Nie wiedziałem skąd nagle przez głowę przemknęła mi taka myśl: W zwykłej kolei rzeczy było tak, że kamienie z pola zbierano na stos, aby pole zaorać, obsiać, skosić, by mogło ono wydać plon, z którego w końcu wypiekano chleb. W ten sposób pole dawało w rezultacie życie. Była to droga szalenie długa i pełna mokołu. Dziś, na moich oczach ta kolejność rzeczy została odwrócona, a wszystko przebiegało błyskawicznie. Kamieni z pola nie zbierano, a przeciwnie, rzucono nimi na nie, rzucono po to, by zadać śmierć.

Mężczyźni jedni krzycząc, inni zatykając sobie uszy starali się zagłuszyć jego słowa, ja jednak słuchałem. Tuż przed kamienowaniem powiedział do mężczyzn: "Ludzie twardego karku i opornych serc i uszu! Wy zawsze sprzeciwiacie się Duchowi Świętemu. Jak ojcowie wasi, tak i wy. Któregoż z proroków nie prześladowali wasi ojcowie? Pozabijali nawet tych, którzy przepowiadali przyjście Sprawiedliwego. A wyście zdradzili Go teraz i zamordowali. Wy, którzy otrzymaliście Prawo za pośrednictwem aniołów, lecz nie przestrzegaliście go."

Zdumiało mnie widzenie, które miał kiedy był już na wpół żywy: "Widzę niebo otwarte i Syna Człowieczego, stojącego po prawicy Boga. Panie, przyjmij ducha mego!" - a gdy osunął się na kolana zawołał głośno - "Panie, nie licz im tego grzechu!"

Kiedy był już martwy mężczyźni zaczęli odchodzić do swych domów z satysfakcją dobrze spełnionego obowiązku. Karą za bluźnierstwo było ukamienowanie jako że Pan powiedział do Mojżesza: "Każ wyprowadzić bluźniercę poza obóz. Wszyscy, którzy go słyszeli, położą ręce na jego głowie. Cała społeczność ukamieniuje go. Potem powiesz Izraelitom: Ktokolwiek przeklina Boga swego, będzie za to odpowiadał. Ktokolwiek bluźni imieniu Pana, będzie ukarany śmiercią. Cała społeczność ukamieniuje go." Czy mogli więc postąpić inaczej? Zatem jutro, gdy ktoś inny odważy się bluźnić, uczynią tak samo - Synowie Izraela uczynią to, co Pan nakazał Mojżeszowi.

Świadectwo Jana

"To koniec, rozumiesz? To koniec. Wszyscy uciekli, zostawili nas samych. W całym mieście oprócz nas dwunastu nie ma nikogo z uczniów. Szawel przeczesuje dom po domu. Znajdzie nas, to tylko kwestia czasu. I zabiją nas przez tego durnego Szczepana, który przecież nawet nie był jednym z apostołów. Nie dość, że swoim gadulstwem ściągnął na siebie kamienie to pociągnął za sobą nas wszystkich."

Skulony z przerażenia próbowałem spojrzeć w twarz brata, ale on już nie patrzył na mnie, chodząc od ściany do ściany mówił raczej do samego siebie.

"Po co nam ta cała Pięćdziesiątnica? Po co ten cały cyrk: to mówienie językami, to zataczanie się jak upici winem? Po co to podnoszenie rąk, uwielbianie, nowe śpiewy? Po co uzdrowienia, wypędzanie złych duchów, prorokowanie? Przecież lepiej... lepiej po staremu: modlić się samemu w izdebce. Czy choćby w tłumie, ale tak jak wszyscy. Siedzieć cicho. Słuchać uczonych w Piśmie..."

"...uczonych w Piśmie?" - bezwiednie powtórzyłem zdziwiony.

"Ty tego nie rozumiesz Janie - zgromił mnie. - Jesteś taki młody, naiwny. Przejrzyj, spójrz prawdzie w oczy. Kościół jest w kryzysie. Kościół musi się bronić przed zagrażającym mu bezbożnym światem. Kościołowi nie potrzebna jest Pięćdziesiątnica. Na co Kościołowi Duch Święty skoro ma swoje nabożeństwa i modlitwy. Żyje swoim życiem. Co z tego, że jest martwy, że ludzie w nim są smutni i chorzy? Najważniejsze, że Kościół ma swój porządek. Ta cała charyzmatyczność go burzy, nic na to nie poradzimy. Dla swoich będziemy już obcy, będziemy tylko wichrzycielami, zielonoświątkowcami, których trzeba usunąć w imię tradycji, bo tradycja... tradycja jest najważniejsza. Tak jest i choćby i dwa tysiące lat upłynęły nic to nie zmieni. Kim jest jeden człowiek wobec wieków tradycji? Co znaczy życie kilkunastu ludzi wobec konieczności utrzymania przy życiu Kościoła?"

Ukryłem zapłakaną twarz w dłoniach. - "Więc to wszystko co zrobił Pan jest na nic?"

Na wspomnienie Mistrza mój brat zlitował się nade mną, ukląkł przy mnie i odpadł już spokojnie.

"Janku... Ludzie tacy są. Nawet jeśliby przyjęli Jezusa to i tak zrobią sobie z niego martwego bożka, kolejnego metalowego cielca - będą Go czcić umarłego na krzyżu, a nie wiecznie żywego ducha Jedności, nieustannie bijące serce ludzkiej Wspólnoty. Taka jest natura ludzka. Nie pokonamy jej. Jeśli ktoś uważa, że miłosierdzie jest mu niepotrzebne zawsze będzie uważał, że to sprawiedliwość jest ważna, a miłość - ślepa."

Nagle z zewnątrz dał się słyszeć głos dobrze mi znany. Nie myśląc rzuciłem się do drzwi by je odryglować. Z oczami pełnymi łez nawet nie mogłem przyjrzeć się Piotrowi. Po prostu rzuciłem się w jego objęcia. Słowa Piotra w ogóle do mnie nie docierały, a jednak zrozumiałem, że mam iść z nim, bo stało się coś ważnego. Nie oglądałem się za siebie.

Z miasta musieliśmy wydostać się niepostrzeżenie. Nie mówiliśmy więc ani słowa. Nie rozglądałem się, by nie zwracać na siebie uwagi. To miało wyglądać naturalnie, jak ojciec z synem, którzy idą szybko, bo za miastem mają coś załatwić.

Gdy dotarliśmy już na miejsce okazało się, że to, o czym po drodze opowiedział mi Piotr było prawdą, a przecież było to zupełnie nieprawdopodobne, tak różne od tego, czego słuchałem jeszcze niedawno.

Całe miasto świętowało. Całe miasto wręcz oszalało z radości. Ludzie na ulicach wielbili Boga. Unosząc ręce uśmiechali się do nieba i zarazem do siebie nawzajem. Ktoś nas zatrzymał i wymachując przed nami pokazywał na swoją rękę. Ktoś inny tańczył pokazując na ozdrowiałą nogę. Ktoś inny rozglądał się jakby widział świat pierwszy raz. Jakaś matka ścisnęła swoje

dziecko, które jeszcze dziś rano było martwe, a teraz jadło coś z zadowoleniem, zdziwione euforią swej matki. Czegoś takiego nie widziałem nawet wtedy, gdy chodziliśmy z mistrzem. Wydawało się, że w całym mieście nie ma nikogo smutnego, obojętnego. W całej Samarii zapanowała radość wielka.

Gdy dotarliśmy do rynku zobaczyliśmy ogromny tłum. To było targowisko głów wpatrzonych w jednego człowieka. Wszyscy patrzyli na Filipa, jednego z siedmiu czyli tych którzy razem ze Szczepanem zostali wybrani do posługi przy stołach. Przemawiał, a oni w skupieniu go słuchali. Gdy nas zobaczył kazał tłumowi nas przepuścić, a oni posłusznie stworzyli dla nas przejście. Patrzyli na nas z podziwem, z miłością. Gdy Filip przywitał nas przemówił do zgromadzenia.

"To są jedni z apostołów, najbliższych uczniów Jezusa. Ja was ochrzciłem wodą, a teraz On poprzez ich ręce ochrzci was ogniem. Otrzymacie dar Ducha świętego o którym tak Pan powiedział do pewnego dostojnika żydowskiego Nikodema: «Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci, jeśli się ktoś nie narodzi powtórnie, nie może ujrzeć królestwa Bożego». Nikodem powiedział do Zbawiciela: «Jakżeż może się człowiek narodzić, będąc starcem? Czyż może powtórnie wejść do łona swej matki i narodzić się?» Jezus odpowiedział: «Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci, jeśli się ktoś nie narodzi z wody i z Ducha, nie może wejść do królestwa Bożego. To, co się z ciała narodziło, jest ciałem, a to, co się z Ducha narodziło, jest duchem."

Tłum zaczął się do nas cisnąć. Gdy zdumiony nałożyłem swe ręce na głowę pierwszego Samarytanina nagle przypomniały mi się ostatnie słowa Jezusa, które wypowiedział przed Wniebowstąpieniem: "Nie wasza to rzecz znać czasy i chwile, które Ojciec ustalił swoją władzą, ale gdy Duch Święty zstąpi na was, otrzymacie Jego moc i będziecie moimi świadkami w Jeruzalem i w całej Judei, i w Samarii, i aż po krańce ziemi."

Tak, teraz zrozumiałem dlaczego Jezus powiedział w tak ważnej chwili właśnie o Samarii! Chrześcijaństwo musiało wyjść z Jerozolimy. Niczym pisklę z jajka musiało wykluć się i zacząć żyć nowym, zewnętrznym życiem, bo do tej pory było ledwie embrionem. Stłuczenie skorupy było wydarzeniem jednorazowym, które dokonało się za sprawą kamieni rzuconych na Szczepana. Tylko ta przerażająca śmierć przez kamienowanie mogła zmusić nas do ucieczki, do porzucenia domu. Dlatego Samaria była tak ważna. On to przepowiedział. Właśnie dlatego, że Jezus nigdy nie nauczał w Samarii wzbudził w samarytanach głód doświadczenia Boga. Z opowieści o Jezusie stworzyło się w nich pełne napięcia oczekiwanie. Przyjście Filipa było przełomem, wejściem rzeczywistości Ducha Świętego w tę krainę, która stała się małą szczeliną otwierającą przed chrześcijaństwem cały pogański świat.

W chwili nakładania rąk na kolejnych Samarytan zrozumiałem też to, że ja sam się odrodziłem. Jak bardzo tej chwili potrzebowałem. Jak jeszcze chwilę wcześniej byłem duchowo martwy mimo że przecież fizycznie byłem żywy. Filip nie tylko przemienił Samarię, ale przemienił także mnie. Być może mógł sam dać im dar Ducha Świętego, ale posłał po nas, bo wiedział jakie to będzie miało znaczenie dla nas, dla Wspólnoty. Spojrzałem na niego, a on niczym czytając w moich myślach uśmiechnął się tym samym uśmiechem, którym obdarzał mnie Pan. Filip wiedział już to, co ja zaledwie zaczynałem przeczuwać: to że strach już nigdy nie będzie miał władzy nade mną. Wzrokiem wskazał mi bym spojrzał ponad tłumem głów i uświadomiłem sobie, że tego dnia rozpoczęła się misja, która miała trwać tysiąclecia i objąć cały ziemski glob.

Świadekstwo Filipa

Ich ręce wydawały się rozgrzane do czerwoności. Kolejne osoby upadały, zaczynały się trząść, wirować, śpiewały wielbiąc Boga czy wykrzykiwały niezrozumiałe słowa. Był to przedziwny widok nawet dla nas. Przecież dotąd mieliśmy styczność tylko ze swoimi, z Żydami. Samarytanie byli pogardzanymi innowiercami, którzy nie znali prawdziwego Boga, naszego Boga.

Widząc zmęczenie apostołów, byli przecież po długiej drodze, ogłosiłem przerwę. W trójkę usiedliśmy i zaczęliśmy jeść, a ludzie oddalili się od nas. Samarytanie też siedzieli, czekali, rozmawiali między sobą o tym, co się właśnie wydarzyło. Tylko jeden człowiek odważył się wstać - zmierzał ku nam. Wcześniej cały czas stał za mną w czasie gdy apostołowie nakładali ręce, co z pewnością nie uszło ich uwadze. Przyglądał się temu co robią, sam jednak po dar Ducha świętego nie przyszedł. Gdy ogłosiłem przerwę nagle odszedł. Teraz zobaczyliśmy, że wraca trzymając coś w rękach. Gdy poczuł na sobie nasz wzrok zląkł się i zatrzymał.

"Kto to?" - zapytał mnie Piotr. "To Szymon. Uważają go tu za bożego człowieka. To najpotężniejszy czarownik w Samarii. Całe miasto czuje przed nim respekt, bo od dawna wprawia małych i wielkich w zdumienie swoimi sztukami. Mimo to nie walczy ze mną, a nawet przyjął chrzest i cały czas przygląda się temu co robię i mówię."

Szymon po chwili wewnętrznej walki odważył się do nas podejść. Zobaczyliśmy wtedy, że to co trzyma w rękach to pieniądze. Kładąc je przed nami poprosił: "Dajcie i mnie tę władzę aby każdy, na kogo położę ręce, otrzymał Ducha Świętego."

Twarz Piotra wykrzywiła się w wyrazie niesmaku. "Niech pieniądze twoje przepadną razem z tobą - odpowiedział mu - gdyż sądziłeś, że dar Boży nabyć można za pieniądze. Nie masz żadnego udziału w tym dziele - wskazał na ludzi na rynku - bo serce twoje nie jest prawe wobec Boga. Odwróć się więc od swego grzechu i proś Pana, a może ci odpuści twój zamiar. Bo widzę, że jesteś żółcią gorzką i wiązką nieprawości."

Szymon upadł na kolana przede mną, bo przed Janem i Piotrem nie śmiał. - "Módlcie się za mną do Pana" - wykrztusił.

"Jezu, ty wiesz jak trudno jest zbawić człowieka wykształconego i bogatego - rozpocząłem modlitwę nad Szymonem. - Tak trudno oddać im to, co prostym i ubogim oddać jest łatwo. Tak trudno im oddać Tobie samych siebie. Oni myślą, że wszystkiego można się nauczyć lub za to zapłacić. Tymczasem ty pokazałeś nam, ubogim i prostym, że jedyne ważne jest to, by umrzeć i narodzić się na nowo. Wszystkim nam potrzebna jest przemiana. Odrzucenie starego, egoistycznego ja i utożsamienie się z nieśmiertelną duszą. Jezu, pomóż Szymonowi odrzucić jego stary umysł, daj mu umysł początkującego, umysł dziecka. Przemień go na swoje podobieństwo. Amen."

Po kilku dniach dawania świadectwa o życiu i śmierci Zbawiciela oraz wspólnego posługiwania w Samarii coraz bardziej jasne stawało się dla nas to, co dalej mamy robić.

"Tak, macie rację. Ofiara Szczepana nie była daremna. Nie wypędzono nas z Jerozolimy przypadkiem. Musimy iść w świat, nieść Jezusa całej ludzkości. Wpierw jednak musimy powrócić. Musimy powiedzieć pozostałym apostołom o tym, czegośmy doświadczyli. Ich też musimy uwolnić od strachu - rzekłem, a oni potwierdzili milcząco."

Tak właśnie ruszyliśmy w drogę do Jerozolimy. Teraz już nie uciekaliśmy. Szliśmy z wiarą, z odwagą, z nadzieją. W wielu wioskach apostołowie zatrzymywali się i byli zdumieni jak bardzo Samarytanie chłoną moc Ducha świętego. Och, czemuż nasi rodacy byli tak oporni? Czy przez tradycję? Paradoksalnie obsesyjna wierność Bogu stała na przeszkodzie poznaniu Boga. Wybierali rozum, a nie serce. Wybierali martwą literę Prawa, a nie spontanicznego ducha Prawdy.

Już u końca naszej wędrówki w małej samarytańskiej wiosce zostaliśmy przyjęci szczególnie gościnnie. Okazało się, że inni uciekający uczniowie już przed nami głosili tu Chrystusa. Po sycącym obiedzie położyliśmy się by zdrzemnąć się i odpocząć przed dalszą drogą.

Nagle na wpół obudzony, na wpół śpiący usłyszałem: "Wstań i pójdz na drogę, która prowadzi z Jerozolimy do Gazy: jest ona pusta". Rozejrzałem się i zdało mi się, że widzę anioła

Pańskiego. Nie budząc pozostałych poszedłem tam. Słońce prażyło mnie niemiłosiernie, bo było południe. Stałem tam sam i czekałem nie wiedząc na co...

Wtem zobaczyłem jadący wóz kogoś szalenie bogatego, podróżującego z całą świtą. "Podejdź i przyłącz się do tego wozu" - usłyszałem w duchu. Gdy podbiegłem, usłyszałem, że jadący czyta proroka Izajasza: "Czy rozumiesz, co czytasz?" - zapytałem zdyszany. Serce mało nie wyskoczyło mi z piersi czy to z wysiłku w tej spiekocie, czy to z odwagi na jaką się zdobyłem wobec takiego możnowładcy. A tamten odpowiedział: "Jakżeż mogę rozumieć, jeśli mi nikt tego nie wyjaśnił?" I zaprosił mnie, abym wsiadł i spoczął przy nim.

"Jestem Etiop, dworzanin królowej etiopskiej Kandaki. Zarządzam całym jej skarbcem. Przybyłem do Jerozolimy oddać pokłon Bogu." Po przedstawieniu się, bez zbędnych słów, jakby była to dla niego najważniejsza sprawa powrócił do lektury księgi proroka: "Wszyscy pobłądziliśmy jak owce, każdy z nas się zwrócił ku własnej drodze, a Pan obarczył go winami nas wszystkich. Dręczono go, lecz sam pozwolił się gnębić, nawet nie otworzył ust swoich. Jak baranek na rzeź prowadzony, jak owca niema wobec strzygących ją, tak on nie otworzył ust swoich. Po udręce i sądzie został usunięty; a kto się przejmuje jego losem? Tak! Zglądono go z krainy żyjących; za grzechy mego ludu został zбитy na śmierć."

"Proszę cię, o kim to Prorok mówi, o sobie czy o kimś innym?" - zapytał mnie dworzanin. Zdało mi się tylko, że otworzyłem usta, a słowa same popłynęły: "Prorok siedemset lat temu powiedział tu o moim ukochanym Panu, Jezusie, który dał się dobrowolnie poprowadzić na umęczenie i haniebną śmierć dla naszego zbawienia. Sam stał się grzechem, by nasze grzechy odkupić. Umarł by przywrócić naszym duszom życie. On w milczeniu nie bronił się przed śmiercią byśmy my teraz mogli o nim mówić, głosząc wszystkim dobrą nowinę. Każdy kto jej posłucha, nawróci się, przyjmie chrzest i z ducha się narodzi będzie miał udział w nim i w jego jedności z Bogiem poprzez dar Ducha świętego."

"Nigdy nie słyszałem o tym, by kiedykolwiek życie jakiegoś człowieka tak przepowiedziano" - wyrzekł zdumiony dostojnik to patrząc na zwój Izajasza, to na mnie i prosił, bym powiedział więcej. Opowiedziałem mu więc o wszystkich cudach, uzdrowieniach, wypędzeniach złych duchów, wskrzeszeniach, miłości uczniów i nienawiści uczonych w Piśmie - całą historię życia Jezusa, od chrztu do wniebowstąpienia.

W czasie podróży przybyliśmy nad jakąś wodę: "Oto woda - powiedział dworzanin - cóż stoi na przeszkodzie, abym został ochrzczone?" Odpowiedziałem: "Mogę cię ochrzcić, jeśli wierzysz z całego serca". Odparł mi: "Wierzę, że Jezus Chrystus jest Synem Bożym". Kazał zatrzymać wóz i obaj weszliśmy do wody. Ochrzciliśmy go, a kiedy wyszliśmy z wody, Duch Pański porwał mnie i dworzanin stracił mnie z oczu. Z wysokości zobaczyłem jak jechał z radością drogą, ku swojej krainie.

Ze świadectwa Szawła

Gdybym ich wtedy dopadł w Jerozolimie wszystko potoczyłoby się inaczej, a tak dzięki świadectwu i wpływom skarbnika królowej Etiopia wkrótce stała się jednym z pierwszych chrześcijańskich krajów świata. Filip nie dotarł wraz apostołami do Jerozolimy, ale znalazł się w Azocie i głosił Ewangelię, przechodząc przez wszystkie miasta, aż dotarł do Cezarei. Jan i Piotr wyciągnęli resztę apostołów z ukrycia i wszyscy znów zaczęli działać.

Byłem wściekły. Już wydawało się, że chrześcijaństwo zostało zduszone w zarodku, a mimo moich wysiłków ten pożar się rozszerzał. Udałem się do arcykapłana z prośbą o listy do synagog w Damaszku, abym mógł uwięzić i przyprowadzić do Jeruzalem mężczyzn i kobiety, zwolenników tej drogi, jeśli bym jakichś znalazł.

Gdy zbliżałem się już w swojej podróży do Damaszku, olśniła mnie nagle światłość z nieba.

A gdy upadłem na ziemię, usłyszałem głos, który mówił: "Szawle, Szawle, dlaczego Mnie prześladujesz?" "Kto jesteś, Panie?" - powiedziałem, a On: "Ja jestem Jezus, którego ty prześladujesz." Nie pojmowałem tego: przecież nie prześladowałem Jezusa, a tylko tych bluźnierców. "Wstań i wejdź do miasta, tam ci powiedzą, co masz czynić". Ludzie, którzy mi towarzyszyli w drodze, oniemieli ze zdumienia, słyszeli bowiem głos, lecz nie widzieli nikogo.

Podniosłem się z ziemi, a kiedy otworzyłem oczy, nic nie widziałem. Zaprowadzili mnie więc do Damaszku, trzymając za ręce. Przez trzy dni nic nie widziałem i ani nie jadłem, ani nie piłem.

Świadectwo Ananiasza

Już rok mieszkałem w Damaszku, gdy usłyszałem, że po zabiciu Szczepana wszyscy uczniowie uciekli z Jerozolimy w obawie przed własną śmiercią. "Ananiaszu!" - przemówił do mnie Pan w widzeniu. Z radością rozpoznałem głos Jezusa i odrzekłem: "Jestem, Panie!" A Pan do mnie rzekł: "Idź na ulicę Prostą i zapytaj w domu Judy o Szawła z Tarsu, bo właśnie się tam modli".

"Panie - odpowiedziałem zasmucony - słyszałem z wielu stron, jak dużo złego wyrządził ten człowiek świętym Twoim w Jerozolimie. I ma on tutaj władzę od arcykapłanów, aby wiązać wszystkich, którzy wzywają Twego imienia". "Idź - odpowiedział mi Pan - bo wybrałem sobie tego człowieka jako narzędzie. On zanieś imię moje do pogan i królów, i do synów Izraela. I ukazę mu, jak wiele będzie musiał wycierpieć dla mego imienia".

Wtedy poszedłem. Wszedłem do domu, położyłem na niego ręce i powiedziałem: "Szawle, bracie, Pan Jezus, Ten, co ukazał ci się na drodze, którą szedłeś, przysłał mnie, abys przejrzał i został napełniony Duchem Świętym".

Ze świadectwa Szawła

Natychmiast jakby łuski spadły z moich oczu i odzyskałem wzrok. Zostałem ochrzczony przez Ananiasza. Dopiero teraz rozumiałem, że od oślepienia nie było już we mnie gniewu za słabość, którą poczułem gdy nie podniosłem wtedy kamienia na Szczepana, gdy nie wziąłem udziału w jego ukamienowaniu. Byłem wściekły na starców, którzy potraktowali mnie jak młokosa dla którego zabicie bluźniercy było ponad młodzieńczą wrażliwość. Ale nie oni byli winni temu, że ich ubrania rozrzucone przede mną nie pozwoliły mi spełnić mojego obowiązku. Rozumiałem to wreszcie! Tam był On! Tam był Jezus. To On mnie zatrzymał. On pokazał mi tę prawdę o kamieniach na polu, które usunięte rodzą chleb, dają życie, a rzucone dają śmierć. Lecz później moje urażone ego nakręciło tę spiralę nienawiści aż w końcu pod Damaszkiem zderzyłem się z prawdą.

Jezus nie oślepił mnie, lecz doprowadził mnie do poznania mojej wewnętrznej ślepoty. Do poznania tego, że żyłem zamknięty w skorupie moich ciasnych przekonań, moich mrocznych wyobrażeń o Bogu. Zrobił to, by po trzech dniach duch mój zmartwychwstał, abym doznał uzdrowienia, przejrzał na oczy. Rozumiałem, że prawdziwa religijność to nie walka z jakimś zewnętrznym przeciwnikiem, ale walka z samym sobą, by samego siebie pokonać i zwrócić Bogu.

Lecz to nie koniec, a tylko początek. Tu dopiero wszystko się zaczęło. Musiałem przejść przez to wszystko, by stać się uczniem - uczniem nie uczonych w Piśmie, nie jakichś pośredników, ale uczniem samego Boga. Musiałem być z Nim sam na sam, bo chrześcijanie mieli mnie za szpiega, a żydzi za zdrajcę. Stare przeminęło i od teraz wszystko było inaczej. Znalazłem się po zupełnie innej stronie rzeczywistości. Zdałem sobie sprawę z tego, że moim domem nie jest już Jerozolima, a braćmi nie są mi ci, których chciałem chronić przed

wywrotowymi naukami. To, co do tej pory było mi najdroższym miejscem było już tylko ruinami rodzinnego domu, które należało zostawić za sobą, bo nie potrafił on pomieścić skarbu, który znalazłem. Poczułem więź z całym światem i z wszystkimi ludźmi pozostającymi w ciemności do których wkrótce miałem zanieść ów skarb - światło Chrystusa.

*"Jeruzalem, Jeruzalem! Ty zabijasz proroków
i kamienujesz tych, którzy do ciebie są posłani.
Ile razy chciałem zgromadzić twoje dzieci, jak ptak
swoje pisklęta pod skrzydła, a nie chcieliście.
Oto dom wasz [tylko] dla was pozostanie. Mówię
zaś wam: nie ujrzycie Mnie, aż nadejdzie czas,
gdy powiecie: Błogosławiony Ten, który przychodzi
w imię Pańskie."*

Przyzwyczajiliśmy się do myślenia, że Kościół jest miejscem szalenie specjalistycznym, że sacrum w odróżnieniu od naszej codzienności to oddzielona szczelnym płotem zona. Mówiąc już współcześnie Kościół można porównać do portu lotniczego wysyłającego masowo pasażerów do nieba. Rzec można księża to piloci Jumbo Jetów, to latami szkoleni przez fachowców umundurowani profesjonalści w temacie latania w których ręce powierzamy z pełnym zaufaniem nasze ciała i dusze. Wszystko jest doskonale przemyślane, wszystko zabezpieczone niezbędnymi licencjami, wszystko idealnie pracujące. Ale mimo tego wszystkiego życie pokazuje, że co rusz jakiś element nie działa właściwie, coś się sypie, że w działaniu tego portu lotniczego dochodzi do mniejszych i większych katastrof: wypaczeń, nadużyć, skandali...

Problem w tym, że na początku nie tak to miało wyglądać. Pierwotnie wszyscy mieliśmy nauczyć się latać na naszych własnych anielskich skrzydłach. By jednak tak mogło się stać każdy miał przejść etap wyklucia się z jajka. Doświadczyć ślepoty wykluwającego się pisklęcia, a nadto doświadczyć osobistego przejrzenia. Potem każdy miał nauczyć się stać na nogach, rozkładać skrzydła, by po długiej, mozolnej drodze trwającej długie lata nauczyć się latać w duchowej rzeczywistości: uzdrawiać, wskrzeszać, prorokować, słyszeć podpowiedzi aniołów i samemu głosić dobrą nowinę. Czynić rzeczy jeszcze bardziej zdumiewające niż czynił Jezus, dlatego że On sam to dla nas pierwotnie przewidział.

Omijając etap wykluwania się staliśmy się chrześcijanami zaledwie potencjalnymi, ledwie zarodkami chrześcijan. Otoczeni podobnymi sobie ludźmi mniemamy, że tak właśnie chrześcijaństwo ma wyglądać. Każdy z nas siedzi obok drugiego w kościelnych ławach niczym jajo bezpiecznie ułożone obok innych, identycznych w pojemniku na jajka. Bez oznak życia, bez bólu ucisku przez zbyt małą już skorupę, bez chęci przebicia się na zewnątrz, bez śnienia o samodzielnym lataniu. Czy choć mgliście zdajemy sobie sprawę z tego, że coś ważnego w życiu nas omija?

Czyja to wina, że nigdy nie użyliśmy naszego twardego jak kamień zęba jajowego do rozbicia skorupy? Nas samych, naszego duchowego lenistwa, przemożnego wpływu instynktu bezpieczeństwa, bo przecież ta skorupa chroni nas przed nieznanymi zagrożeniami? Czy może to wina kogoś innego, bo nikt nas nie zapłodnił do realnego życia duchowego? A może nie wybieramy uczniostwa, bo nieświadomie skłaniamy się do jednej z dwóch skrajności, bowiem warto wiedzieć, iż uczniowskie chrześcijaństwo, jakie Jezus tworzył osobiście, od początku aż do dziś wypierane jest z dwóch, przeciwnych sobie stron. Z jednej strony oczywiście przez tych, którzy w ogóle walczą z religijnością, z drugiej zaś strony przez ukazany powyżej żydowski czy później chrześcijański konserwatyzm. Tekst ten napisałem w pewnej mierze w reakcji na artykuł przeczytany w prasie konserwatywnej krytykującej ruch charyzmatyczny, bo przecież od pięćdziesięciu lat mówi się o "protestantyzacji" Kościoła katolickiego.

Tak powszechny na początku uczniowski model chrześcijaństwa ukazany w Dziejach apostoelskich polegający na osobistym spotkaniu z Jezusem i doświadczeniu Ducha Świętego z biegiem czasu został wyparty przez chrześcijaństwo obudowane filozofią, liturgią, kulturą czy nawet biznesem. W pewnym stopniu chrześcijaństwo stało zmodyfikowanym judaizmem - dla większości doświadczeniem znanym tylko z przekazu i tradycji. Dla wierzących doświadczenia mistyczne stały się czymś niepokojącym. W sakramencie bierzmowania przestano już autentycznie uznawać Jezusa za Pana i Zbawiciela, a jedynie coś "kupić", załatwić niczym Szymon mag. Ludzie ochrzczeni jako dzieci i bierzmowani jako młodzieńcy zamiast sami stać się uczniami, zlecili to kapłanom, a oni przerobieni przez system, już uczniami być nie potrafiąc, stali się tylko zabieganymi pracownikami swych parafii.

Owszem należy kochać naszych księży za to, że pełnią swoją bezcenną rolę, ale choćby nie wiadomo jak się oni starali i jak nie byli w swej pracy kompetentni nie zastąpią nikogo na drodze osobistego uczniostwa. Nie ma innej drogi niż samodzielne wyklucie się czyli naiwne odkrycie tego, że Bóg opisywany w Biblii rzeczywiście istnieje i nawiązanie z nim własnej, zupełnie nieprofesjonalnej, ale za to niepowtarzalnej relacji. Po prostu każdy musi sam rozbić swoją skorupę, sam musi przejrzeć na oczy niczym wykluwające się pisklę, a to dopiero początek.

Na podstawie Dziejów apostoelskich

Mariusz Kwiatkowski

Chorzów, 26.12.2019-6.01.2020

*(Rozpoczyłem pisanie w wigilię święta św. Szczepana,
pierwszego męczennika,
a skończyłem w święto Objawienia Pańskiego
kończąc lekturę książki "Krzyż i sztylet" Davida Wilkersona.)*